

Co to takiego jest ten swing?

AUTOR: MARIUSZ BOGDANOWICZ ZDJĘCIE: TVRTRKO UJEVIĆ

Pomimo że wkoło dzieją się sprawy ostateczne, może zostaniemy przy muzyce. Niech to będzie odtrutka i antidotum.

Kontynuując wątek tematów nadrzędnych i generalnych, dziś będzie o swingu. Może od tego trzeba było zacząć? Bo jeżeli dość często poruszam tematy związane z jazzem, to nijak pojęcia tego nie da się obejść. Bez jego gruntownego zrozumienia o muzyce jazzowej i o wielu innych gatunkach mówić się nie da. Wielokrotnie przekonałem się, że pomimo iż określenie to jest niemal w potocznej mowie, z jego rozumieniem bywa różnie. Zatem postaram się przystępnie wyjaśnić i przybliżyć.

Często słyszymy: „ale swinguje”, „zagrajmy to w swingu”, „orkiestra swingowa” itp. Co to znaczy? Zjawisko można nieco zmierzyć i opisać.

To *swing* to po angielsku 'huścić, kołysać się'. W muzyce natomiast ma dwa znaczenia. Pierwsze oznacza kolejny, po jazzie nowoorleańskim, wielki styl w muzyce jazzowej. W takich razach powinien być pisany wielką literą (nie „z wielkiej litery”, bo to rusycyzm...). Za okres jego panowania przyjęło się uważać lata 1932–1945. Swing to złota era jazzu, era orkiestr – big bandów. Nigdy przedtem ani potem jazz nie był tak blisko muzyki pop. Muzyka jazzowa pełniła funkcję użytkową. Big bandy grały do tańca, w Stanach było ich blisko tysiąc. Najwybitniejsi i najsłynniejsi liderzy to Count Basie i Duke Ellington (to on w 1932 roku nagrał utwór *It Don't Mean A Thing If It Ain't Got That Swing*, co przyjęto za umowną datę początku stylu). Pojawiają się wielcy soliści: Lester Young, Coleman Hawkins, Ben Webster, Benny Goodman, Johnny Hodges. Swe kariery rozpoczynają Ella Fitzgerald, Billie Holiday, Sarah Vaughan, Carmen McRae i Frank Sinatra.

Użytkowa funkcja w końcu znudziła muzyków i doprowadziła do bebopowego fermentu, ale to już inna historia.

Drugie znaczenie słowa swing (swingowanie) dotyczy wyjątkowego, tylko jazzowi właściwego, traktowania rytmu, a ściślej – specyficznej interpretacji rytmicznej. W daleko idącym uproszczeniu można powiedzieć, że polega to na pulsacji triolowej. W średnich tempach zapisane (bądź nie) ósemki interpretuje się jako ćwierćnutę i ósemkę z trioli. Ot i wszystko... Ktoś powie – no to co za afera – prosta sprawa. Otóż jest „ale”. W szybszych tempach triole zbliżają się do ósemek. I problem w tym, że nie da się tego zapisać. (Tak już zupełnie nawiasem i na marginesie myślę, że może właśnie ta niezapisywalność leży u podstaw niechęci do jazzu środowisk związanych z muzyką poważną? Na szczęście to nastawienie się już w zasadzie kończy.) Wracając, pulsację ową trzeba zrozumieć, wyczuć i wchłonąć. Żeby jeszcze być w zgodzie z „mędrcą szkiełkiem i okiem”, należy dodać, że ósemki owe są zlegowane – druga z trzecią, czwarta z piątą itd.

Ten sposób interpretowania rytmu był obecny w jazzie o początku. W erze Swingu dokonał się proces jego krystalizacji. Wtedy też w miejsce nut granych przez kontrabas (wcześniej tubę) na mocne części taktu (raz i trzy), pojawiło się granie czterech ćwierćnut w taktie na 4/4, które nazwano *walking bass*.

Określenie „zagrajmy coś w swingu” oznacza właśnie sekcję grającą walking, a przy tym to, co się dzieje powyżej w partyturze, jest interpretowane z ową specyficzną pulsacją triolową. Za wynalazców walkingu uchodzi sekcja big bandu Counta Basiego – słynna All American Rhythm Section – legendarny Freddie Green (g), Walter Page (b), Jo Jones (dr) i lider na fortepianie. W rzeczywistości walking pojawił się na drodze ewolucji. Muzycy intuicyjnie poszukiwali płynnego rytmu dostosowanego do tańca. Podejrzewam, że sekcja Basiego doprowadziła ten nowy sposób grania do niespotykanej dotąd perfekcji i tak przeszła do historii, zupełnie zresztą zasłużenie.

No i teraz – skąd to się wzięło? Tyle się mówi o bluesowych korzeniach jazzu i o tym wszystkim *blue*... Z *Kind of Blue* na czele. A toż przecież te triole, in statu nascendi, wzięły się z bluesa na 12/8. Proste i oczywiste. Jeszcze jedno. W przeciwieństwie do muzyki europejskiej jazz ma, tak samo jak blues, niezmiennie tempo. Jest to jeden z niezaprzeczalnych dowodów na oczywiste przeciwieństwo, afrykańskie pochodzenie obu gatunków. We wszystkich trzech przypadkach chodzi o to samo – muzyka ma służyć wprowadzaniu się w trans, a jednostajne tempo temu sprzyja. Też proste. Jeśli do tego jeszcze dołożyć onomatopieczną dla be bopu kwartę zwiększoną między pierwszym a czwartym stopniem skali bluesowej, to mamy komplet.

Wchodząc nieco głębiej w temat, należy nadmienić, że bardzo udany i trwający do dziś romans jazzu z bossa novą połączył dwa światy. Hegemonia „kwantyzacji triolowej” została skrzyżowana z, no powiedzmy, że równymi ósemkami. Jazzmani natychmiast poczuli się w nowym środowisku rytmicznym jak ryby w wodzie. Niektórzy, jak na przykład Oscar Peterson, na bazie grającej bossę sekcji, dalej podswingowywali ósemki w partiach solowych. U nas genialnie potrafi to robić Andrzej Jagodziński. Po kilkunastu latach (wynalezienie bossy to druga połowa lat pięćdziesiątych) Miles Davis połączył jazz z rockiem, gdzie znowu są w sekcji „równe” ósemki. I znowu warstwa rytmiczna jazzu dostała zastrzyk nowej krwi i energii.

Rytm nacechowany jest indywidualnymi cechami timingu każdego jazzmana. Walking i owa pulsacja triolowa są nierozdzielnie związane z jazzem. Od czasów Swingu stały się idiomatyczne i niemal synonimiczne dla muzyki jazzowej. Ten sposób grania czyni jazz fascynującym. Nie ma go nigdzie indziej. Nie wątpię, że tak zostanie na zawsze. Jazz to swing.

Mam nadzieję, że nie będzie afery, że było za nudne, że za dużo szczegółów zrozumiałych tylko muzykom, i, że odbija mi bełferstwo. Felieton powinien być choć trochę żartobliwy... A tu co? Zadzwoń Naczelnicy i powie: „tym razem przesadziłeś”. Może nie będzie tak źle. Będę się bronił misją mediów, tych niepublicznych również. ■

Mariusz Bogdanowicz

NA STRONIE WWW.MARIUSZBOGDANOWICZ.PL ZNAJDZIECIE ARCHIWUM FELIETONÓW MARIUSZA BOGDANOWICZA OPUBLIKOWANYCH DO TEJ PORY NA ŁAMACH TOPGUITAR

